TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA PISARZY Z POLSKI

Rok II. Nr.13 151 East 67 Street, New York, N.Y. 26.III. 1942

Wielkanoc.

Droga wierzbą sadzona wśród zielonej łąki
Na której pierwsze jaskry żółcieją i mlecze.
Wpośród wierzb po kamieniach wąska struga ciecze,
A pod niebem wysoko śpiewają skowronki.

Wśród tej łąki wilgotnej od porannej rosy
Drogą, którą co święto szli ludzie ze śpiewką
Idzie sobie Pan Jezus wpółnagi i bosy
Z wielkanocną w przebitej dłoni chorągiewką.

Naprzeciw idzie chłopka. Ma kosy złociste,
Łowicka jej spódniczka i piękna zapaska.
Poznała Zbawiciela z Świętego obrazka,
Upadła na kolana i krzyknęła: "Chryste!"

Bije głową o ziemię z serdeczną rozpaczą,
A Chrystus się pochylił nad klęczącem ciałem
I mówi: "Powiedz ludziom niech więcej nie płaczą,
Dwa dni leżałem w grobie i dziś zmartwychwstałem".

Jan Lechoń

Mój pierwszy rok w Ameryce.
Ciąg dalszy.

Od Ameryki wymagamy na ogół więcej niż od nas samych. W ostatnich dziesiątkach lat spora część Europy żyła w tak niezdrowych warunkach, iż Ameryka wydawała się najwyższym arbitrem moralnym na kuli ziemskiej. U europejskich miłośników fikcji, zwanej ziemską sprawiedliwością symbolami tej sprawiedliwości byli niejednokrotnie prezydenci Stanów Zjednoczonych. Ilekroć na starym lądzie działo się coś niedobrego, gdy ucisk zdobywał sankcję prawa, wielu pokrzywdzonych oglądało się w stronę statui Wolności i mówiło:"Co na to Ameryka powie?" Ameryka była też tą daleką instancją przed którą wstydzili się ludzie odpowiedzialni za sumienie swych społeczeństw. Niewątpliwie tę wysoką rangę zawdzięcza Ameryka autentycznym zdobyczom demokracji, wywalczonym w czasie wojny domowej. Wspaniała postać Abrahama Lincolna zasługuje na podziw i uwielbienie całej ludzkości, godnej swobody. Noblesse oblige! I dlatego wszystko co w tym kraju pozostawia do życzenia, uderza z większą siłą, niż w Europie, gdzie pesymizm był niejednokrotnie obowiązującą filozofją życia, a niewiara fundamentem wiary.

Tutaj wzniosłe hasła brało się à la lettre i dlatego można zauważyć duże zaufanie nie tylko do litery prawa, ale i do wszystkich instytucji opartych na prawie. Stany Zjednoczone, o ile zdołałem zaobserwować, są chyba najmniej policyjnym krajem na świecie. Życie narodu jest minimalnie krępowane. W tak olbrzymiem mieście jak Nowy York prawie nie widać urzędów. Rejestracja do wojska odbywa się w szkołach, a w urzędach pocztowych składa się zeznania podatkowe i zapisuje wrogich cudzoziemców.

Nasza europejska urbanistyka chlubi się wielką ilością monumentalnych budowli, poświęconych utrapieniu człowieka pod względem fizycznym, moralnym i materjalnym. Umowa społeczna, oparta na wolnej i przeważnie dobrej woli i administracji i "stron" nie sprzyja rozwojowi budownictwa świeckiego. Czyni miasta mniej malowniczemi, ale umila życie obywatela.

Mimo to błędne byłoby mniemanie, że jesteśmy w raju. Opinję raju urobili Ameryce ludzie, dla których życie gdzieindziej było przeważnie piekłem. Należę do tych, którym cały świat przed wrześniem 1939 wydawał się czyśćcem i dlatego nie mam do Ameryki pretensji o to, że nie jest rajem, a do Amerykanów, że nie są aniołami. Jest tu wprawdzie miasto Los Angeles, w którego pobliżu znajduje się Gaj Swięty, gdzie skoncentrowano kobiety piękne jak anioły, ale uczynił to nie Pan Bóg, lecz równie potężny przemysł filmowy. Anioły z Swiętego Gaju, czyli Holywood, występują zresztą najczęściej w roli djablic.

Czyściec europejski idzie tutaj za nami, i oby nim pozostał po kres wszystkich dni. Nie tak daleki, zdaje się.

W czasie pierwszej światowej wojny uważaliśmy Amerykę za coś w rodzaju "deus ex machina". Za bóstwo, które w momencie decydującym wkroczy na teatrum wojny i przechyli szalę wypadków na naszą korzyść. Rzeczywiście akcja prez. Wilsona i pojawienie się korpusu ekspedycyjnego na froncie francuskim było jakgdyby interwencją wyższych, nadprzyrodzonych mocy. O taką interwencję błagał Amerykę premjer Francji, Paul Reynaud,w pamiętnym końcu czerwca 1940. Miał przed zapłakanemi oczami wizję Ameryki wszechmocnej, miłosiernej, szlachetnej, nietykalnej i nieśmiertelnej jak bóstwo, jak deus ex machina.

Dzisiaj Ameryka sama znalazła się w wojnie o swój byt. Nadszedł moment, kiedy deus ex machina sam został zaatakowany i przeszedł do roli pierwszego protagonisty. Ta rola, ludzka, zbliżyła Amerykę z resztą świata, więcej: przyczyniła się do zbawiennej unifikacji całego świata, w którym człowiek nie zrzekł się jeszcze ani praw boskich ani zdrowego rozsądku. Piękną rolę ma do odegrania Ameryka w tej tragedji, w której dzia-

ła nie jakie bóstwo, lecz jako człowiek wśród ludzi.

2

Przejdźmy jednak do spraw mniej patetycznych. Jak każdy Europejczyk miałem i ja w Europie mylne wyobrażenia o Ameryce. Wydawało mi się, że zastanę jeśli nie raj, to mały edenik, w którym na miejscu drzewa poznania, rosną wspaniałe warsztaty mechaniczne. Co drugi człowiek, myślałem jeszcze w Lizbonie, musi być tutaj znakomitym rzemieślnikiem, rozmiłowanym w majstrowaniu. Grubo się zawiodłem. Naprawa zegarka trwa tu przeciętnie trzy miesiące i w większości wypadków kończy się odebraniem zegarka zepsutego. Myślałem, że tu, gdzie się wyrabia tyle przedmiotów użyteczności codziennej, przedmioty te będą w lepszym gatunku, niż u nas. Niestety - w tym klimacie wszystko psuje się szybciej, a co się tyczy naprawy n.p. instalacji wodnych w mieszkaniu, kaloryferów i t.p. przekonałem się, że t.zw. panowie plumberzy są tylko pozornie specjalistami od tych rzeczy. Leczyli moje przypadłości cielesne n.p. chorą wątrobę, usiłowali również leczyć moją duszę oraz pozostałe organa. Kaloryferów jednak nie udało im się naprawić przez długie tygodnie, w których miałem zaszczyt /zresztą nie na mój koszt/ widywać tych panów niemal codziennie. Gdy kupiłem sobie ołówek za 49 centów, już nazajutrz mi się zaciął i był do niczego. Sprzedawca, do którego udałem się z prośbą o naprawę, wielokrotnie powtarzał w tonacji crescendo: "It is a good pencil!" - aż wpadł w gniew i omal nie wyrzucił mnie za drzwi. Wiele czasu upłynęło zanim zrozumiałem, że zadaniem tego ołówka wcale nie było spisywanie mych arcydzieł, lecz najszybsze zepsucie się, w interesie jego fabrykanta. To samo było z instalacją w moim domu, który nie grzeszył ani nowością, ani drożyzną. Dom był stary i takież były jego urządzenia. Należało go zatem zburzyć, a kto jest romantykiem, przywiązanym do starzyzny i taniości, niech ginie razem z tandetą. Tu się produkuje, a nie konserwuje. Tu trupów się nie galwanizuje, lecz conajwyżej balsamuje w popularnych zakładach rozrywkowych, zwanych "Funeral Home". O tych zakładach pozwolę sobie jeszcze pomówić w dalszych ustępach tego opowiadania. Na dziś pragnąłbym zaznaczyć, że sam się już psuję i obawiam się, że mnie tu nikt nie naprawi i podzielę los mojego ołówka. Wiadomo przecież: jestem produktem tanim, chociaż nie seryjnym. I am a good pencil!

/Ciąg dalszy nastąpi/

Józef Wittlin

O poezjach, poecie i o Jaworowych Ludziach.

...Do karty zniszczeń należy także książka polska i jej autor. Niemcy tępią narówni myśl polską jak i ludzi. A jednak tam czytują, przechowują książki jak relikwje. Któż jednak wróci popalone bibljoteki, zniszczone zbiory, po średniowiecznemu zdeptane książki? Literatów konających w obozach któż wskrzesi?

List z Polski:" - Prawie wcale nie wychodzę z domu, bo bardzo zimno, a w domu troszkę cieplej dzięki kawie od ciebie... Przychodzi do mnie często Janina, pisałam ci, że od bomby wzrok straciła. Dziś była także i czytałam jej głośno poezje. Jest nam spokojnie razem i zapominamy o całym świecie. Staramy się zapomnieć. Nieraz siedzi ona u mnie od rana do wieczora bo też nie lubi chodzić po ulicach, woli spokój w domu i ze mną. Tak obie staruszki wspominamy sobie dawne czasy. I czytamy. Dziś głośno jej czytałam wiersze, cudne wiersze, które tak lubię. Karma-

zynowy Poemat. Siódma Jesień i inne. Wiesz, że wszyscy bardzo teraz czytają wiersze... Nie bój się, książek nie sprzedaję, tylko niektóre, co sam Pusiek umierając wskazał, które można sprzedać. Biedny, tak zawsze dbał o mnie, ledwo już zrozumieć mogłam jak ostatniego dnia mówił do mnie: Restauracja Literacka, darmo, tam jadaj...w Towarzystwie Literatów - chodziłam tam z początku. Wszyscy się o książki pytali - niektórzy chcieli kupować, zwłaszcza poezje. Bo to jak chleb..."

W Towarzystwie Literatów! Od urodzenia chyba pamiętam ten lokalik dość stary i dość brudnawy, woźnego Józefa, Józefową, która patrzyła w ojca jak w tęczę i kupę dzieci, z któremi się bawiłam, ciekawa innego świata. Jakże to dawno było! I jak pięknie... Czy wolno teraz wspominać? Teraz kiedy ludzie tam najnieszczęśliwsi, kiedy tam tak straszno... Czy wolno wspominać szczęśliwe dzieciństwo, kiedy się słyszy o głodnych, chorych, łysych, bezzębnych dzieciach polskich na ulicach Warszawy.

Czemże okupimy nasze szczęście pobytu na bezpiecznej ziemi,choćby nawet nie wiem jak krajało się serce z istotnego współczucia, i nie wiem jak pożerała nas tęsknota!..

Poezje - oni tam czytają poezje! Nie wszyscy, zapewne, ale jakże dużo smutnej inteligencji polskiej, samotnych staruszek odgrodzonych od widoku Niemców niepewną ścianą mieszkania i jakże mocnym murem zapomnienia jakie daje książka. Od chwili wejścia Niemców rzucono się na książki ratując je niejako, ale i nagle czując ich wielką potrzebę. Zwłaszcza poezje, dawne i nowe, szczególnie naszych młodych poetów były z księgarń warszawskich rozkupione w pierwszych tygodniach niewoli. Wiersze tych poetów, którzy znaleźli gościnę na drugiej półkuli, których wierszy dzieci w Polsce uczyły się i uczyć będą, a których tu Polonja Amerykańska ma szczęście poznać z blizka. Nie są to przecież zwyczajni ludzie, ci których słowa przynoszą tam w kraju trochę ukojenia, których słowa są tam tak potrzebne!

Poeta... Pamiętam z dzieciństwa książeczkę Gomulickiego "Wspomnienia Niebieskiego Mundurka." Jak to mały uczeń pragnie na własne oczy zobaczyć "poetę". Przez miasteczko właśnie ma przejechać Syrokomla. Chłopczyna stoi na drodze za miastem, stoi na deszczu i czeka z biciem serca. Jak to prawdziwy poeta wygląda? Zaczyna mu też chłód dokuczać. Wybiegł ze szkoły w samym mundurku, a tu wiatr pociąga zimny, deszcz zacina, jakby lodowatemi igiełkami... Aby dodać sobie energji, podniecić się zapałem powtarza półgłosem wiersze - wiersze Syrokomli. Z serca chłopca smutek nie ustąpił, owszem, wzrastać się zdaje - "Czy dzisiaj świat postarzał, czy w oczach ściemniało?" - powtarza za poetą z tak głębokiem przejęciem się, jakby mu tę skargę własne życie i własne doświadczenie podyktowały. A na drodze wciąż pusto. Wyczerpał cały zapas zapamiętanych wierszy, potem deklamował z cicha wszystko po trochu, więc i Słowackiego i Goszczyńskiego... Teraz myśli o ich autorach. -"Poeta! ileż mieści się w tem słowie! Tysiące, setki tysięcy zwykłych ludzi, takich jak ja, jak moi koledzy, moi nauczyciele, - z wyjątkiem może nowego nauczyciela polskiego? - zdobywają się na wydanie jednego poety! To też chyba "On" do zwykłych ludzi nie może być podobny!" - Odzywa się wreszcie głos trąbki, jękliwy, żałosny. Z mgły wynurza się bryczka pocztowa, zwyczajna, zielono malowana "extrapoczta", pędząca szybkim kłusem po twardo ubitej szosię. Droga w tym miejscu jest falista. O kilkadziesiąt kroków od chłopczyny konie zwalniają biegu, wjeżdżają pod górę. Już on jest w stanie rozeznać postać siedzącą na bryczce. Ta postać zbliża się doń coraz szybciej, staje się coraz wyraźniejsza. I wtedy widzi mężczyznę średnich lat z twarzą wygoloną, z długiemi ciemnemi, wymykającemi się z pod czapki i na ramiona spadającemi włosami. Jadący ma na sobie płaszcz ciemnozielony i pelerynę, którą wiatr jesienny rozwiewa. W ustach trzyma cygaro zagasłe, o którym zda się zapomniał. Siedzi bardzo pochylony jakby go całego wielki ciężar przygniatał. Twarz jego wyraża smutek i znękanie, oczy w

dół spuszczone na nic i na nikogo nie patrzą. Na siedzeniu obok podróżnego leży kilka większych i mniejszych bukietów, które podskakują, ile razy bryczka o wystający kamień uderzy. Więc to poeta - myśli chłopiec z uczuciem zawodu i rozrzewnienia zarazem. Wyobrażał go sobie inaczej...Z nosem orlim, z oczyma ciskającymi pioruny. Ale to uczucie trwa tylko chwilę. Mary pierzchnęły - poeta rzeczywisty podoba mu się i zachwyca go równie silnie jak one. Gdy zrównała się z nim bryczka wychodzi malec z pod drzewa, zdejmuje czapkę i wyprostowany jak przed inspektorem, w zwykłym swym niebieskim przez deszcze zmoczonym mundurku, stoi, wpatrując się w poetę wzrokiem pełnym ukochania i zapału. Dojrzał go wtedy pan w bryczce, szybkim ruchem odrzuca cygaro, prostuje się, głowę odkrywa - z wbitym w chłopca bystrym do głębi przenikającym wzrokiem, uśmiecha się".

Wiktora Gomulickiego pamiętam jak przez mgłę, przychodził do ojca często, bardzo smutny, biednie ubrany i tak się wstydził, że nie chciał inaczej wejść jak przez kuchnię. Mieszkał gdzieś koło nas nad Wisłą. Nie spotkaliśmy go zdaje się nigdy na moich szczęśliwych spacerach, kiedy wracałam z ojcem z "Nowej Gazety" i marzyłam o bezach z kremem, a ojciec witał się z wielkimi ludźmi i przyjmował uśmiechy od najśliczniejszych kobiet. Dzięki Gomulickiemu, dzięki tej książeczce, która mnie kiedyś wzruszała tak bardzo, zrozumiałam moje codzienne szczęście oglądania tylu poetów, autorów... Bo tak się złożyło, że znałam ich wówczas niemal wszystkich.

Koło cukierni Lursa pełno spotykaliśmy tych panów, którzy potrafili być moimi towarzyszami zabawy w "Jaworowych ludzi". Witał się zamyślony Tetmajer, piękny Weyssenhof, huczał basem Franz Fiszer, uśmiechał się Perzyński, mruczał swoje przysłowiowe "hm" milczący Jan Lemański, największy przyjaciel, który do domu przychodził tylko do mnie: nic nie mówiąc zdejmował palto i szedł prosto do dziecinnego pokoju. Zdarzało się nieraz, że dostawaliśmy porządną burę kiedy to naprzykład cięliśmy na paski artykuły ojca, z których wychodziły efektowne papierowe kapelusze, kołnierzyki i mankiety. Wszyscy oni na naszych jour fixach, kiedy szanowne żony gwarzyły na kanapie - bawili się ze mną w "Jaworowych ludzi". Po latach spotykałam się często z pytaniem: "Pamięta pani Jaworowych ludzi?" - "Jawor, jawor...", "Budujemy mosty dla pana starosty" - szłam na czele korowodu, na który składali się tacy jaworowi ludzie jak Reymont, Miriam, Berent, Żeromski, Przybyszewski, Lemański, Staff, Grubiński, Bartkiewicz, Gruby Fiszer, mały Leśmian... Pamiętam zadymiony Miriamowskiemi cygarami pokój i Fiszera ubranego w prześcieradło, który chrzcił moje lalki, a "oni" składali na ich piętach cenne autografy w postaci bardzo skomplikowanych imion, które mnie jednak martwiły: Hermenegilda, Szemselnichara...

Z tych dawnych przyjaciół już nikt prawie nie żyje. Ich książki? Schowane przed wrogiem, utajone, są codzienną strawą ludzi głodnych i nieszczęśliwych w kraju.

Irena Lorentowicz

Jan Lechoń, przygotowując pracę o J a r o s z u D e r d o w s k i m, pisarzu kaszubskim, który w drugiej połowie XIX wieku spędził kilkanaście lat w Stanach Zjednoczonych i pozostawił tu rodzinę, prosi najuprzejmiej osoby i instytucje, którym znane są szczegóły tego pobytu, ewentualnie nieogłoszone dotąd prace Derdowskiego o łaskawe nadesłanie tych danych pod adresem: Jan Lechoń , Lexington Ave & 49 St., New York City.

Rycerz i markietanka.

"Fuehrer wita z zadowoleniem każdego nowonarodzonego obywatela Rzeszy niezależnie od tego, czy jego rodzice mają świstek papieru, zwany metryką ślubu - czy nie..." - oświadczył w jednym ze swoich przemó - wień dr.L.Conti, niemiecki minister zdrowia.

Cyniczna ale szczera jest owa wypowiedź ministra, który,jak na ironję, jest odpowiedzialny za zdrowie obywateli Rzeszy. Zarówno nowych bez świstka papieru narodzonych w dziewięć miesięcy po zaręczynach ro - dziców na week-endzie, jak i tych, którzy ujrzeli świat nieco po staro-świecku, a więc w odpowiednim okresie, dzielącym ich od legalnego i prawem przewidzianego ślubu ojca z matką. Wypowiedź ta bądźcobądź oficjalna,bo wychodząca od jednego z kierowników państwa - urasta do znaczenia symbolu nowej moralności. Lansuje ją doktryna hitlerowska ad usum obecnego pokolenia "wybranego narodu" kosztem następnych jego pokoleń, świadomie unikając myśli o jej katastrofalnych następstwach. Nikt bowiem na całym świecie nie ma wątpliwości, że zarówno stosowanie wobec żołnierza bohatera systemu "życia ułatwionego" jako nagrody za trudy wojenne jak i sztuczny doping króliczej produkcji mięsa armatniego - ma swój znany i tępiony przez policję i Tow.Ochrony Zwierząt precedens narkotyzowania konia przed wyścigiem dlatego, że od danego biegu zależą przyszłe losy bankrutującego właściciela stajni, dżokeja, chłopca stajennego i kilku przyjaciół, równie grających va banque a znających sekret zastrzyku.

Hasło "Après nous le deluge!", wyznawane i stosowane w praktyce przez obecnych kierowników Rzeszy, nie ogranicza się jedynie do nerwowego zwiększania swych kont w szwedzkich bankach przez Goeringa czy Goebbesa lub zamiany urzędowej limuzyny na samolot dalekiego zasięgu. Jest ono przemyślnie rozpracowane sugestją propagandy, stałym kompromisem z komplikacjami życia i moralności człowieka cywilizowanego - na cały naród. I na dłuższy dystans. Jest obłędem, narzuconym szerokim masom ludności niemieckiej i podtrzymywanym stale zwiększającymi się dawkami duchowego narkotyku. Zwłaszcza młodzież jest tu przedmiotem szczególnej troski i uwagi. Trzeba jej dać coś wzamian za fanatyzm - i daje jej się swobodę, wybiegającą daleko poza ramy zoologiczne. W imię nowej religji, parafrazującej stary nietsche'ański mit o prawach nadludzi - obala się nawet zasady naturalnego doboru, monogamji i obowiązków, wynikających z tytułu rodzicielskiego, bo na nowego obywatela czeka już państwo, by go od pierwszych dni jego świadomości zakuć w zbroję robota i nie pozwolić myśleć.

Anglja ustrój swój opiera na tradycjach dobrotliwych dla niej handlowo stuleci, Ameryka wrosła w demokrację wspólnym, solidarnym, ciężkim wysiłkiem ludzi w walce z przyrodą. Francja Robespiere'ów przejęła u stóp gilotyny wdzięk menuetowych markizów i umiała go przerobić na system naukowy zarówno w buduarze jak i na sali parlamentu. Niemcy - charakteryzują się na przestrzeni swych dziejów szaleńczemi zrywami imperjalizmu, nerwowemi i ciężkimi atakami megalomanji geopolitycznej. By realizować niezdrowe ambicje władzy nad światem i pragnienia coraz szerszych granic, pobudzić swoje społeczeństwo do maksymalnego wysiłku, związać je żelazną dyscypliną i doprowadzić do białego fanatyzmu - nie wystarczą hasła i ad hoc preparowana ideologja. Dojść musi rozkosz rabunku, upojenie mordem i białe ramiona dziewczęce, zwłaszcza, że przyjemna idylla rycerza i markietanki w wyniku zgodnej współpracy - zwiększa ilość nowych robotów, którzy posłusznie realizować będą w przyszłości kolejne zrywy - tym razem Czwartej, Piątej i Szóstej Rzeszy, zrywy następujące po krótkim zwykle okresie prostracji i załamania jak w skomunizowanych latach 1918 - 1919.

"Voelkischer Beobachter" uspakajając rodziców, gdy ich 16-letnie córki kierowane są wprost z obozów pracy do obozów żołnierskich w pobli-

żu frontu - z wzruszającą szczerością tłumaczy im, iż jest to "zdrowe" dla dziewcząt, a zresztą musimy się wyzbyć wszelkiej pruderji, która jest zabytkiem minionej epoki". Nie przypuszczam, by ten komentarz kogo dziś w Niemczech zgorszył - poza bardzo starymi rodzicami, którzy w odniesieniu do własnej córki grzeszą anachronizmem miłości rodzicielskiej, nadwrażliwością rodzinną, pono zabytkiem minionej epoki.

Ich córka, urodziwszy Zygfrydka lub Brunhildkę, nawet najprawdopodobniej nie napisze do nich listu. Zresztą niezawsze znać będzie ich adres, gdyż szkół "Hitlerjugend" nawet po śmierci papy Schicklgrubera będzie wiele w przyszłych Niemczech. Najwyżej zmienią nazwę na "Strasserjugend" albo "Strassenjugend".

Jerzy Topa

Cud łyżki zupy.

Nie wiem, czy kiedykolwiek zjawi się pisarz, który odtworzy duszę wygnańca wojennego. By opisać złożoność jej przeżyć, trzeba pióra nieopisanie wnikliwego i delikatnego, pióra portrecisty psychologicznego na miarę Prusa, Mauriaca czy Prousta. Nikt z szczęśliwych, kto tego nie przeżył, kto nie został raptownie wyrwany z korzeniami z własnego środowiska, nie jest w stanie pojąć tego wrzątku poplątanego ładu uczuciowego. Choćby z samarytańskim współczuciem przygarnął wygnańca, zawsze stanie przed nim ściana, za którą ukrywa się cały świat obcy i niezrozumiały, urągający wszelkim opisom. Dlatego w oczach ludzi normalnych wygnańcy mają zapewne coś z wtajemniczonych dziwaków, z reakcją na otoczenie nieco osobliwą i senną. Całe niezmierzone sfery doznania są dla nich hermetycznie zamknięte. Bezdomne włóczęgi po obcych krajach, obrazy słabości i upokorzenia, plątające się we wspomnieniach, budowania jakby w sypkim piasku wciąż nowych ostoi moralnych i nowych przystani, rozpaczliwe szukanie osobistego sensu życia - to wszystko musiało pozostawić głębokie ślady w duszy. I tylko chyba jedna wiara w sprawę polską stanowić może ogniwo porozumienia.

Ileż w tych warunkach trzeba rozwagi, trzymanej kurczowo na wodzy, by zachować trzeźwość sądu i nie dać się uwieść nastrojom. Ileż dojrzałości, by nie stać się ofiarą niechęci i nieporozumień. A przecież niewątpliwie wszyscy z tych niebywałych doświadczeń i wędrówek pragniemy wysnuć nauki na przyszłość, bo jesteśmy opętani manjactwem miłości własnego kraju. Uchodźca polski stale jest zajęty porównaniem. Ten nieustający proces porównania i sądzenia trwał od pierwszej chwili tułaczki. Porównywamy stosunki i ludzi, urządzenia i organizacje, ustroje społeczeństw, urzędników, kupców, inteligencję, ludzi prostych i polityków. Nie łatwo w tych warunkach zachować właściwą miarę. Z jednej strony pod wpływem nostalgji jesteśmy skłonni idealizować przeszłość do granic utopji. Z drugiej zaś strony zbyt surowo osądzamy kraje, które poznaliśmy w nienormalnych warunkach wojennych. Do sądów naszych przekrada się subjektywizm, karmiony reakcją przeczulonych nerwów.

Dlatego powinniśmy z wyrozumieniem przyjmować pewne przykre niespodzianki. Nie bierzmy zbyt tragicznie, jeżeli rodak amerykański w ponurych kolorach przedstawia stosunki w Polsce, a potem okazuje się, że opuścił ją trzydzieści lat temu. Bo ten sam rodak ma serce gorące i kocha Ojczyznę szczerze. Ten sam zdobył się na szacunku godne ofiary, by uchodźcy dopomóc do schronienia się w Ameryce. Nie załamujmy rąk nad ignorancją w sprawach polskich wśród Amerykanów. Jest to jedno z powszechnych i tragicznych zjawisk dzisiejszego świata, że ludzie i narody tak mało się znają. Niedawno dopiero angielski dziennikarz William Hickey

opowiadał Londyńczykom nieprawdopodobne historje o ignorancji Amerykanów pochodzenia anglosaskiego w sprawach angielskich. Pewna np. starsza pani z Chicago zarzucała, że król Jerzy jest takim samym dyktatorem jak Hitler i Mussolini. Wielu przedstawicieli inteligencji amerykańskiej było przekonanych, że przeciętny Anglik nigdy się nie kąpie.

W naszej wędrówce zapewne wszyscy zrobiliśmy jedno cudowne doświadczenie. Przekonaliśmy się, że wiele rzeczy było u nas o wiele lepszych, niż w społeczeństwach zamożnych i rutynowanych. Nasz robotnik, chłop czy inteligent pracował z ofiarnością i umiejętnością w warunkach tak ciężkich, w których zawiódłby pracownik niejednej innej narodowości. Byliśmy biedni, ale w tej biedzie naród polski okazał zalety charakteru nieporównane. A w przyszłym świecie nie pieniądz, nie bagnet ani liczba będzie rządziła, lecz właśnie wartość duchowa plemienia. Inaczej dzisiejsze zmaganie nie miałoby celu.

Ziarna tej rewolucji spotykaliśmy wszędzie w Europie. Wśród nikczemności i tchórzostwa polityków państw europejskich, wśród policyjnych prześladowań bezbronnych wygnańców, administracyjnych szykan i bezmyślnych okrucieństw - ileż spotykaliśmy niespodzianych, olśniewających i budujących dowodów ludzkości. Jedną z najpiękniejszych rewelacji naszej nieszczęśliwej cywilizacji było to, że nie zawiódł prosty człowiek. Nie zawiódł prawie nigdy. Zawsze zachował godność człowieka, zawsze miał odwagę serca, nie zatracił instynktu braterstwa i współczucia. Każdy z nas miał liczne tego rodzaju doświadczenia w swojej wędrówce po krajach Europy. Słyszeliśmy o bohaterskim ukrywaniu zbiegłych jeńców pod groźą śmierci przez prostych wieśniaków polskich czy francuskich. O ofiarności i głębi uczucia ceny przedziwnej. Ja osobiście mam żywo przed oczyma pewnego skromnego subjekta małego kramiku w jednym z miast rumuńskich. Mimo że był obarczony liczną rodziną, przygarnął nas wprost z ulicy, nakarmił i oddał swą jedyną sypialnię, sam z rodziną umieściwszy się w kuchni. Nie było sposobu wymówić się. A kiedy odjeżdżaliśmy zaopatrzył nas w żywność owoce i papierosy. Przypominam sobie ubogą kobiecinę, mieszkającą gdzieś w Rumunji w obdrapanej drewnianej chałupie, która gotowała całe kotły pożywnej zupy i odkarmiała dziesiątki uchodźców. Nie mogę zapomnieć tej Francuski, żony pocztarza, której mąż był gdzieś na froncie. Na wiadomość o zawieszeniu broni, spazmowała całą noc z rozpaczy i bólu, podczas gdy z pobliskiego hotelu rozlegały się rozwydrzone pijane krzyki "Vive la Paix".

Kiedyś, gdy ten cały koszmar minie, zajaśnieje chwałą postać prostego mieszkańca Europy, który miał odwagę pozostać człowiekiem. On bowiem uratował dla przyszłego świata te najwyższe wartości, o które zmaga się dziś ludzkość. On, być może, stanie się bohaterem poematu czy powieści jakiegoś natchnionego twórcy, który w gruzach naszej epoki szukać będzie prawdziwej wielkości. On stanie się źródłem nowej "wiosny ludów". Obok żołnierza-tułacza, gardzącego śmiercią, obok bojowca, co dumnie szedł na szafot oprawcy, stanie w chwale prosta uboga kobieta, co po - przez kordon najeżonych żandarmskich bagnetów podaje łyżkę ciepłej zupy. I właśnie ta łyżka zupy sprawia, że człowiek nie zwątpił w lepszą przyszłość świata.

Zenon Kosidowski

Time bomb. Powieść
Ciąg dalszy.

Nie zbudziły go nawet nowe krzyki, o wiele głośniejsze i nowy wybuch śmiechu.

-Jest na ogrodzie! W ogrodzie leży! - ktoś wołał.

-Center! Do niej! Jazda do niej, center!

Co to jest? Asystent wstał cicho, żeby nie zbudzić profesora i wyszedł na werandę. Z pomiędzy drzew w ogrodzie biło oślepiająco białe, drgające światło. Przy nim stał już "center" z łopatą w ręce i sypał piasek na płomień.

-Co to jest, nie wiem - myślał asystent zadowolony, że profesor nie widzi jego zmartwienia - ale wiem, że nie strach. Tak...Trudno to nazwać strachem. Nie potrzebnie zagalopował się. Trzeba będzie trochę przebudować tę teorję. Czuł, jakby zrobił krzywdę staremu profesorowi. Bo ostatecznie trudno nazwać strachem zachowanie się staruszka, który wykonuje operację, gdy wkoło biją bomby. Tak...Musi to jakoś naprawić.

Gdy wrócił na fotel, usłyszał krzyk:"out" i gwizdek używany przez sędziego na boisku sportowym. "Out" oznaczało -domyślił się - że bomba padła teraz po za ich teren, na ulicę.

-"Center"? "Out"? Skąd im się wzięła teraz terminologja z boiska sportowego?

Rozdział 4.

Profesora obudziło światło. Otworzył oczy i patrzał na wpół przytomny nie rozumiejąc, co się stało. W pokoju paliły się lampy, pod ścianami stały szpitalne łóżka a okna były zaciemnione. Z dworu dochodziło odległe stękanie samolotu ale trzaski pożaru ucichły zupełnie.

Profesor zrozumiał po chwili, że przespał ugaszenie pożaru. Te - raz, widać, Weber włączył światło zapasowe.

Na środku pokoju stał asystent i cicho tłumaczył coś miss Violet. Jak zwykle pomagał sobie niedołężnie rękoma, a miss Violet była jak zwykle zimną i suchą starą panną, której nikt nie mógłby podejrzewać o bohaterskie wyczyny na dachu.

-Wyglądają, jakby rozmawiali o jakiejś injekcji,a nie stali w samym środku bitwy - przeszło przez myśl profesorowi.

-Powinni być tu już dawno, to prawda - mówił asystent - ale ulice zawalone gruzami, niektóre całe w ogniu, więc muszą objeżdżać dookoła i stąd to opóźnienie.

-Widocznie ambulanse z rannymi z Warwick County Hospital jeszcze nie przyszły - pomyślał profesor.

Zrobiło mu się trochę nieprzyjemnie. Nie powinien był spać, gdy wszyscy pracowali. Jeżeli już nie ratował, powinien przynajmniej bać się razem z wszystkimi - skoro to jest strach, jak chce asystent - i cieszyć się razem z wszystkimi. W dodatku przypomniał sobie, że zasnął w połowie tej rozmowy z asystentem, a on może wcale nie spał...

-Przespaliśmy się trochę - odezwał się po chwili dla zbadania sprawy. Asystent w odpowiedzi uśmiechnął się.

-Dzięki Bogu pożar ugaszony bez nas.

-A jak ludzie?

-Odchodzili, jakby wygrali match z Niemcami.

Profesor postanowił nie wszczynać dyskusji, ale nie mógł powstrzymać się od krytycznej uwagi.

-Z nimi nie pójdzie panu koledze tak łatwo jak ze mną. Tu trudno będzie wyjaśnić wszystko odruchami.

-Wcale nie! - żywo zaprzeczył asystent. I on postanowił nie wszczynać dyskusji, ale nie mógł powstrzymać się, bo odpowiedź narzucała się sama.- Wszystkie silniejsze przeżycia tych ludzi były związane ze sportem

z matchami. Więc gdy teraz zjawiły się silniejsze przeżycia, zjawił się śmiech i terminologja z boiska. Zjawiły się odruchy związane z matchem, tak samo jak u pana profesora zjawiły się odruchy związane z operacją.

Profesor był oburzony. Niech tam już będzie, że on się bał, choć strachu wcale nie czuł, ale ci ludzie stali pod bombami z gołymi głowami i z narażeniem życia ratowali szpital. A ten widzi w tym tylko odruchy!

-Ja przyznaję, że ten pański behavioryzm jest najściślejszą z psychologji, że ścisłością dorównuje naukom przyrodniczym, ale dziwnie ścisnął on człowieka. Dziwnie pomniejszył go. Na jakieś bohaterstwo nie ma zupełnie miejsca.

-Owszem, ale także musimy wyjaśnić je odruchami.

-Jeżeli bohaterstwo wyjaśnimy odruchami, to przestanie być bohaterstwem! - unosił się co raz bardziej profesor. - Człowiek został uproszczony do rzędu bezdusznego mechanizmu, który reaguje odruchami, a bezduszny mechanizm nie może być bohaterem!

-Rozłożenie skomplikowanego zjawiska na prostsze elementy jest metodą zawsze stosowaną w nauce.

-Tak, ale zostaje jeszcze pytanie, czy to człowiek jest tak prosty, czy behavioryzm prostacki.

Raz tylko rozmowa ich doszła do podobnego napięcia. Rozprawiali wtedy o psie, który po śmierci pana przestał przyjmować pokarm i zdechł na jego grobie. Asystent twierdził, że da się to wytłumaczyć odruchami. Obecność pana była bodźcem warunkowym przyjmowania pokarmu. Gdy zabrakło tego bodźca, ustała reakcja t.zn. przyjmowanie pokarmu i stąd śmierć, wyglądająca tak romantycznie. Profesor uniósł się wtedy podobnie jak teraz. Ostatecznie trudno odmówić odwagi ludziom, którzy traktują bomby jak piłki. Niech sobie tam ten behavioryzm tłumaczy wszystko odruchami, niech nawet pobyt miss Violet na dachu wytłumaczy jakimiś odruchami, ale niechże nie przeczy, że to była odwaga, która zasługuje na medal!

Profesor obejrzał się na miss Violet. Siedziała spokojnie, zaczytana w swojej powieści, i nie słuchała wcale ich rozmowy.

-Ależ owszem - odpowiedział niespodziewanie asystent. -Nikt nie przeczy, że to była odwaga.

-Przepraszam bardzo - zaprotestował gorąco profesor. -Dlaczego w takim razie nie nazywa pan odwagą mojego zachowania się, kiedy zabrałem się do operacji?

-Jakto nie?

-Wczoraj mówił pan o strachu...

-A o odwadze nie mówiłem?

-O odwadze?

-Bo już pan spał, panie profesorze. Po namyśle doszedłem do wniosku, że odwaga polega na zastąpieniu odruchów strachu innymi odruchami. A jakimi - to obojętne. Może to być śpiew hymnu narodowego, może być match, może być wytrwanie w atakowanym okopie - tak samo jak może być operacja.

-To wszystko mówił pan kolega?...

-Mniej więcej - odpowiedział wymijająco asystent.

Profesor nabrał znowu trochę przekonania do tego behavioryzmu. Miał duże poczucie humoru, więc chciał powiedzieć o tym asystentowi, ale uwagę jego odwróciło ciche skrzypnięcie drzwi.

Wszedł nimi mały, niepozorny człowieczek w szarym, wygniecionym ubraniu, o szarym siwiejącym wąsiku na szarej twarzy. Bezceremonjalnie zdjął mokrą marynarkę, rozwiesił ją na krześle i został w kamizelce. Z kieszeni wyjął zmiętą gazetę i starannie rozłożył na stole. Profesor patrzył na niego z szczerym rozczuleniem.

-Jak tam pożar, panie Weber? - zapytał. /Dalszy ciąg nastąpi/

Antoni Cwojdziński